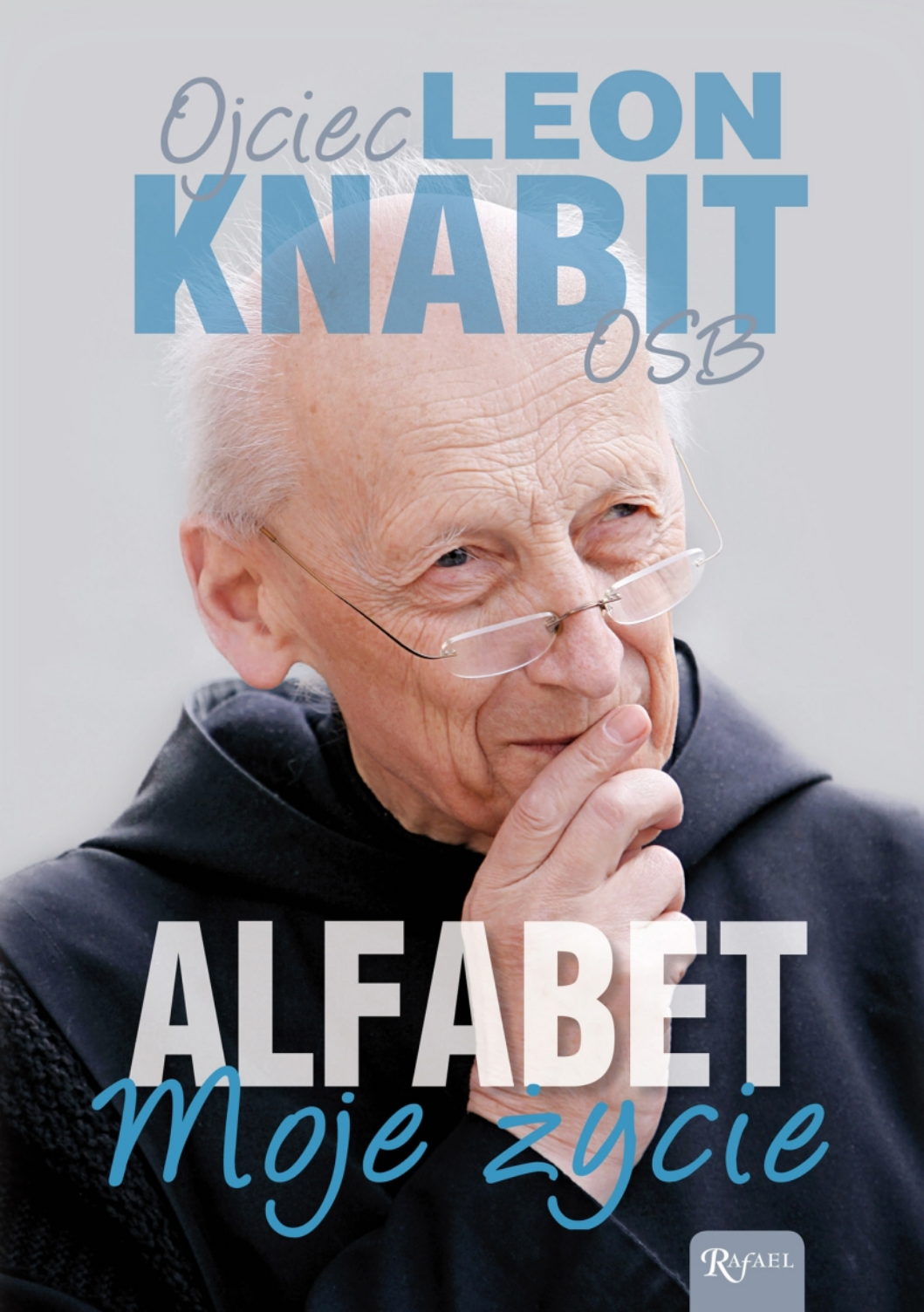

Ojciec LEON
KNABIT
OSB
ALFABET
Moje życie
RAFAEL

ALFABET

Moje życie

Ojciec LEON
KNABIT
OSB

ALFABET
Moje życie

RAFAEL

Redakcja
Marek Latasiewicz

Korekta i współpraca
Anna Kendziak
Agata Pindel-Witek

Projekt okładki
Łukasz Kosek

Projekt i pracowanie komputerowe
Andrzej Witek

Fotografia na okładce
Anna Kaczmarz/Dziennik Polski/Reporter/East News

ISBN 978-83-7569-197-9

© 2010 Dom Wydawniczy „Rafael”
ul. Ostatnia 1c
31-444 Kraków
tel./fax: 12 411 14 52
e-mail: rafael@rafael.pl
www.rafael.pl

Druk: Drukarnia RAFAEL

Ojca Leona sposób na szczęśliwe życie

Nie obrażam się!

Skończone 80 lat, w tym ponad pół wieku spędzone w zakonie, a prawie trzy czwarte jako kapłan. Jak najkrócej w liczbach można by napisać biografię ojca Leona Knabita?

Właściwie okrągła liczba jest tylko jedna – skończony 80. rok życia, w tym 57 lat w kapłaństwie, 52 w życiu zakonnym, 62 życia w stanie duchownym. A poza tym? Prawie 22 tysiące odprawionych Eucharystii, około pół tysiąca rekolekcji, ponad 1000 rozmaitych spotkań i jeszcze ponad 30 napisanych książek. Nie mam czasu na prowadzenie takich statystyk.

Kiedyś skrupulatnie panowałem nad listami, co zrozumiałe, bo przecież jestem synem listonosza, ale jakieś siedem lat temu ten porządek mi się zawalił. Z przykrością muszę się przyznać, że przestałem regularnie odpisywać na listy, za co zawiedzionych serdecznie przepraszam. Nie zapominam jednak o nich w modlitwie. Nie wytrzymałem tempa życia. No, ale w wieku 80 lat można to chyba zrozumieć.

Ma Ojciec swoją definicję na pozór banalnego pojęcia „dobre życie”? Kim jest człowiek, który wiedzie dobre życie? Jaka jest recepta na takie życie?

Wiele jest elementów dobroci, ale najbardziej ujmuje mnie ktoś, kto się nie obraża. To bardzo ważna cecha, pozwalająca ustawić siebie w należytej pozycji i ustawiająca drugiego człowieka we właściwym miejscu, pokazująca mu – jakże po chrześcijańsku – że darzymy go zaufaniem. Kiedyś zaimponował mi tyniecki mnich, ojciec Bernard Turowicz, wybitny matematyk i historyk, twierdząc, że tylko idiota się obraża. Myślę, że w takiej właśnie postawie trzeba szukać między innymi recepty na dobre życie. Ale należy pamiętać, że dobro nie jest pojęciem samym w sobie, lecz musi się go rozumieć tylko w odniesieniu do drugiego człowieka.

Samo życie jest wartością. Jest więc dobre. Jednak żyć można dobrze lub źle. Łatwo kogoś oceniać, ale jak samemu rozpoznać, kiedy żyje się źle?

To jest trochę przewrotne pytanie. Trzeba zacząć od tego, żeby się sobą nie przejmować za bardzo. Jak mawiał ojciec Piotr Rostworowski, były przeor w Tyńcu: „Mieć w sobie Boga i gwizdać na wszystko”, być zawsze opanowanym wobec przeciwności zewnętrznych, słuchać tego, co mówią przeciwnicy, a nie przyjaciele, bo osąd ludzki nie zawsze jest obiektywny.

Co jest trudniejsze: czynienie dobra czy przebaczanie?

To rozróżnienie nie jest adekwatne, bo przecież przebaczanie jest także czynieniem dobra. Jeśli jest się blisko Jezusa, to przychodzi ono z większą łatwością.

Czy można być dobrym człowiekiem, nie uznając Boga?

Oczywiście, można! To tylko fundamentaliści religijni uważają, że jedynie będąc katolikiem i wierząc w Boga, można dobrze wypełniać swe obowiązki względem drugiego człowieka. Teoretycznie można być dobrym, bo Pan Bóg każdemu pomaga w czynieniu dobra. Ale z drugiej strony, jeśli wierzącym nie zawsze pomaga sankcja nieba jako nagrody i piekła jako kary, bo i tak czynią źle, to co wówczas, kiedy takiej sankcji w ogóle nie ma? Oczywiście, wtedy o wiele łatwiej żyć w przekonaniu, że jest się dobrym człowiekiem. Bo człowiek, zarówno ten wierzący, jak i niewierzący, podlega takim samym prawom otoczenia, psychologii, biologii i tym podobnym. Jednocześnie, przyglądając się wielu małżeństwom niebędącym w związku sakramentalnym, widać, że radzą sobie bardzo dobrze. Ale często, kiedy dotyka ich kryzys, nie mają się o co oprzeć i wtedy znacznie zwiększa się prawdopodobieństwo rozpadu związku oraz nieradzenia sobie z problemami.

Można odnieść nieodparte wrażenie, że wszyscy Ojca kochają. Nie miał Ojciec nigdy wrogów?

Wystarczy przeczytać wpisy na moim blogu internetowym... No, ale to dotyczy głównie anonimowych autorów wpisów. Nie znam ich, więc nie mogę traktować jako wrogów, ale na pewno jest to grupa tych, którzy mnie nie lubią – pewnie za mój cięty język, bo od młodości miałem ciągoty do tego, by z czegoś zakpić. Niestety, to było silniejsze od miłości bliźniego.

Kiedyś opat Kazimierz Janicki radził mi, bym przytępił swój język, a przeor Paweł Szczaniecki powiedział, że nawet ci, którzy mnie kochają, to mnie nie lubią. Zupełnie

z innych pobudek pewien zakonnik – tajny współpracownik – napisał w donosie do SB, że mnie nie lubi, bo jestem lizusem i lubię donosy. A ja byłem wtedy mistrzem nowicjatu i prosiłem współbraci, by nie wychowywali nowicjuszy na własną rękę, ale najpierw mnie powiedzieli, co im się w młodych nie podoba, a ja wtedy będę wiedział, co z tym dalej robić.

Jakieś 40 lat temu podczas tak zwanej „trybuny katechetycznej" spytały mnie dzieci chyba z piątej klasy, czy myślę, że mnie wszyscy lubią. Odpowiedziałem, że jedni tak, a inni nie. Były zadowolone i odpowiedź uznały za obiektywną i odpowiadającą prawdzie.

Kto, oprócz rodziców – co jest zrozumiałe – miał największy wpływ na życie Ojca?

Niewątpliwie szereg księży i duchownych, o których wspominam w niniejszej książce. Tylko ich wymienię: biskup Wacław Skomorucha, biskup Ignacy Świrski, ksiądz Władysław Proczek, ojciec Piotr Rostworowski, ojciec Włodzimierz Zimoląg. Nie zapominam jednak także o życzliwości płynącej od otaczającej mnie niezliczonej ilości ludzi świeckich.

A może były też wyjątkowe wydarzenia, które odmieniły życie Ojca lub miały znaczący wpływ na postawę?

Bezsprzecznie był to wybór Polaka na papieża. Tak, to był przełom mający przeogromny wpływ na moje życie. Stan wojenny był trudnym doświadczeniem, ale prawdę mówiąc, nie miał on większego wpływu ani na funkcjonowanie Tyńca, ani Ruchu Odrodzenie, w którym aktywnie działałem. Zresztą, cały czas w stanie wojennym

starałem się żyć normalnie: prowadziłem korespondencję, odbywałem konieczne podróże duszpasterskie z wymaganymi pozwoleniami władz, głosiłem rekolekcje. 13 grudnia akurat rozpoczynałem rekolekcje dla studentów w Nowej Hucie.

Jeśli byłoby to możliwe, zmieniłby coś Ojciec w swoim życiu?

Tylko tyle, bym mógł być lepszy... Poza tym dbałbym bardziej o porządek. Muszę się bowiem przyznać, że bałagan w celi mam od momentu, kiedy zaczęły mi się nawarstwiać różne papiery, dokumenty, archiwalia. Leżały dosłownie wszędzie, a miałem wówczas ciasną celę. Zamieniono mi ją na większą, z zasuwanymi szafami, po to, bym mógł wreszcie te papiery uporządkować. Ale jak je położyłem na podłodze przed dwoma laty, tak niektóre leżą tam do dzisiaj. Gdy ojciec opat wchodzi do mojej celi, to dyplomatycznie rozgląda się po suficie.

Dlaczego Ojciec wybrał dla zakonnego życia imię Leon?

To nie ja go wybrałem, lecz mi je wybrano. Wówczas imiona zakonne były nadawane, teraz najczęściej się je uzgadnia.

To w pewnym sensie było dla mnie zaskoczenie, bo dowiedziałem się o wybranym dla mnie imieniu w ostatniej chwili, podczas ceremonii obłóczyn. Jeszcze nawet przy odczytywaniu zasług mojego przyszłego patrona zastanawiałem się, o jakiego to świętego chodzi. Ale oczywiście nie mam za złe ojcu Rostworowskiemu – bo to on wówczas był przeorem – że wybrał na patrona dla

mnie tak wspaniałego człowieka, jakim był Leon Wielki, wybitny teolog, doktor Kościoła. To on obronił Rzym przed zagładą. Kiedy jestem w Watykanie i odwiedzam Bazylikę św. Piotra, modlę się przy ołtarzu św. Leona. Wejścia do kaplicy strzegą strażnicy, ale wpuszczają mnie do niej, gdy tłumaczę, że idę do swego patrona.

Został Ojciec odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za krzewienie wiary i zasad moralnych wśród dzieci i młodzieży. Wydawcy natomiast przyznali Ojcu za całokształt twórczości „Feniksa", pisząc w uzasadnieniu, że to nagroda za styl i osobowość pełną łagodności oraz wyrozumiałości, spiętą katolicką stanowczością, jak też i ujmującą bezpośredniością. Czym dla Ojca są te wyróżnienia?

Są potwierdzeniem tego, że to moje normalne, zwyczajne życie zostało zauważone; że ni stąd, ni zowąd moje zwyczajne życie zakonne uznano za nadzwyczajne, warte wyróżnienia. Oczywiście, daleko mi z tego powodu do pychy, bo o moim poczuciu wewnętrznej wartości nie decyduje to, że ktoś mnie zauważa.

Kiedyś miałem pewien kłopot z odnalezieniem się w przestrzeni między pochwałami i naganami. Wtedy przypomnieli mi się starzy ojcowie monastycyzmu, którzy w takich sytuacjach wysyłali na groby przodków. Najpierw kazali wychwalać zmarłych, a następnie złorzeczyć im. Po powrocie pytali, czy coś się działo, gdy wznoszone były hymny pochwalne. Nic. A gdy przeklinano zmarłych? Też nic. „Idź więc i rób to, co robiłeś do tej pory" – brzmiała mądra odpowiedź. Trzymając się żartobliwej konwencji, pragnę podkreślić, że Krzyż

Kawalerski można dostać nie tylko za długoletnie pożycie małżeńskie, ale także za 80 lat kawalerstwa...

Jaka nagroda była dla Ojca najbardziej znaczącym wyróżnieniem?

Tak naprawdę, to nie odczuwam jakiejś wielkiej radości z tego powodu, że dobrzy ludzie mnie wybierają. Jednak z drugiej strony, jeśli w toczącej się walce z klerem zauważa się, że jest jeszcze jeden ksiądz, którego się akceptuje, to bardzo się cieszę z tego powodu. Nie czuję żadnej zawiści, kiedy widzę, że są jeszcze jacyś kapłani, mnisi czy ludzie świeccy dobrze przyjmowani przez innych. Dzięki Bogu, że tacy jeszcze są! A mnie wystarcza wyróżnienie, że znajduję się w gronie takich kapłanów, którzy starają się nie być zgorszeniem, o czym tak często ostatnio przypominają media.

W 2009 roku otrzymał Ojciec w Tomaszowie Mazowieckim order „Ecce Homo", nadawany przez kapitułę osobom, które wbrew wszelkim przeciwnościom poprzez konsekwentną działalność dają świadectwo bezinteresownej miłości bliźniego...

Bardzo sobie go cenię, bo znalazłem się w gronie ludzi zacnych i – co budujące – także skromnych. Wcześniej odznaczony orderem ks. Jan Twardowski dziwił się, że w jego poezji doszukiwano się wpływów wielkich twórców francuskich i niemieckich. „To ja taki jestem?" – pytał zdumiony, dodając: „Przecież ja piszę tylko takie wierszyki: Mała myszka siedzi sobie i ząbkami serek skrobie...". Tak samo na mnie ta nagroda spadła jak

przysłowiowy grom z jasnego nieba. Doceniam ją, ale przede wszystkim przez wzgląd na ludzi, którzy zauważyli, że coś dobrego robię.

Nie unika Ojciec żadnego, nawet najtrudniejszego tematu, choćby wypowiadania się o seksie. Zakonnika nie krępują takie sprawy?

Nie jestem w tym oryginalny. Wystarczy sięgnąć po książkę kapucyna ojca Ksawerego Knotza, który napisał o tych sprawach prawdziwy poradnik. Co innego epatować seksem w jakimś pornograficznym wymiarze, a co innego mówić o takich rzeczach normalnym językiem. Bo seks jest przecież czymś normalnym, wymyślonym przez Pana Boga, a jedynie zboczenia są dziełem człowieka.

Co najbardziej zagraża człowiekowi XXI wieku?

Ponad wszelką wątpliwość bezbożnictwo. Problem jednak polega na złym pojmowaniu Kościoła. Nie można bowiem postrzegać Kościoła tylko jako instytucji, bo wówczas zatraca się pełny obraz mistycznej więzi człowieka z Bogiem. Ale gdy Kościół traktuje się jako instytucję i pokazuje, że jej członkowie źle się zachowują, to niektórzy nawet radzą mi, bym jako człowiek uczciwy tę instytucję opuścił. Ale ja z takimi głosami nie mogę się utożsamiać. Kościół to przede wszystkim Chrystus – Przyjaciel. Zupełnie normalne jest, iż kiedy Jezus cierpi i zewsząd Mu dokładają, to w takiej sytuacji nie mogę tak normalnie odejść. Przyjaciela przecież nie opuszcza się w biedzie.

Nieustannie Ojciec nas zaskakuje. Mając 80 lat, zaczął Ojciec pisać bloga w internecie.

Tylko dlatego, że zasugerowało mi to nasze Wydawnictwo „Tyniec". Ze względu na brak czasu sam bym nie wpadł na taki pomysł. Ale dałem się przekonać i spróbowałem. To kolejny przykład otwartości na inicjatywy w stosunku do mnie. Odzew przeszedł oczekiwania: ponad pół miliona wejść i 17 tysięcy dyskutujących. Na jeden wpis pojawiło się kiedyś 558 odpowiedzi. Blog stał się prawdziwym klubem dyskusyjnym, miejscem wymiany poglądów. Jest swoistą świetlicą, do której wszystkich zapraszam, ale nie ze wszystkimi chcę się bawić. Bo blog, dając możliwość wypowiadania się różnym ludziom, pozwala na nierzadko pojawiające się ordynarne obrażanie. Tego nie mogę popierać, jednak chcąc docierać do wszystkich, nie można w takie wpisy ingerować.

Na tym samym blogu zorganizowała się grupa modlitewna, która raz w tygodniu spotyka się za pośrednictwem internetu na wspólnej modlitwie w intencji tych wszystkich, którzy nie potrafią poskromić swoich emocji i używają wulgarnego języka. I na tym polega siła tego oręża we współczesnym świecie. Internetem, telefonem komórkowym i innymi gadżetami także zakonnik musi się umieć posługiwać, zwłaszcza benedyktyni, którzy od zarania potrafili wykorzystywać techniczne nowości. Oczywiście, trzeba to czynić w odpowiednim do tego czasie, bo po zamknięciu drzwi swojej celi mogę bez kłopotu odnaleźć się w duchu Reguły z VI wieku po Chrystusie.

Skąd Ojciec czerpie tyle optymizmu, którym zaraża także innych ludzi?

Często powtarzam, że jest to kwestia przekonania, iż jest się na właściwej drodze. Ja wiem, że właśnie taką drogą od wielu lat podążam i wszystko, co robię, czynię z pasją – tak jak nauczyciel z powołania, kochający swoją firmę pracownik czy szczęśliwi małżonkowie po 65 latach wspólnego pożycia. Ponadto myślę, że nieco swoich genów przekazała mi Mamusia, która miała w sobie wiele optymizmu. Jednak nic by z tego nie było, gdyby nie solidny fundament benedyktyńskiego wychowania. Poddałem się bez reszty temu, co dobre w nauce Chrystusa, i mogę dzisiaj jednoznacznie stwierdzić, że jakoś rosnę na tej benedyktyńskiej glebie.

Często przy rozstaniu mówi Ojciec: „Do zobaczenia w czyśćcu”…

Jak dobrze, a nawet jak bardzo dobrze pójdzie! Bo stamtąd już jest tylko *one way*, tylko jedno wyjście. O piekle nie myślę.

A dlaczego zatem nie w niebie?

Nie w niebie, bo... za bardzo znam siebie!

Rozmawiał Marek Latasiewicz
Tyniec, 21 września 2010 roku

Od redakcji

Módl się i pracuj

Jeśli przyjąć, że życie zakonnika przepełnione jest ascezą i kontemplacją w zaciszu klasztornych murów, to ojciec Leon Knabit wyłamuje się z takiego dość powszechnego obrazu mnicha. Tyniecki benedyktyn, którego popularność można porównywać z gwiazdami ekranu i czołowymi politykami, wcale nie zamyka się w celi prawie tysiącletniej budowli, nie unika ludzi, a jeśli otwiera usta, to nie tylko wówczas, gdy dołącza do gregoriańskiego chóru modlitewnego.

Swą misję polegającą na podsuwaniu niezawodnych recept jak być szczęśliwym wypełnia najczęściej z dala od swego opactwa. Jako ceniony rekolekcjonista i kaznodzieja przemierza Polskę wzdłuż i wszerz. Odwiedza też misyjne ośrodki w Szwecji, Niemczech, Słowacji. Zapraszają go do radia i telewizji, w której wielką furorę robił prowadzony przez niego talk show „Ojciec Leon zaprasza".

W wolnych chwilach – a kiedyż on je ma? – między powinnościami, które ma wobec tynieckiej wspólnoty, oraz oprowadzaniem wycieczek po zabytkowym kompleksie, zasiada do komputera, by wypełnić kolejne zobowiązanie wydawnicze. I to z jakim efektem! Każda książka od razu staje się bestsellerem. A skoro tak, to

trzeba dać satysfakcję czytelnikom i odbyć sześćdziesiąt spotkań autorskich w roku. Uff, iście benedyktyńska praca...

– Jadę wszędzie tam, gdzie mnie potrzebują, ale nigdy nie opuszczam klasztoru dla przyjemności i bez aprobaty opata – zastrzega się ojciec Leon i dodaje: – Czasem czuję się jak ten miś na Krupówkach, z którym każdy chce się sfotografować.

Tak, ojciec Leon jest tyniecką ikoną, człowiekiem sławnym i lubianym. Lgną do niego młodzi i starzy, po rady zwracają się profesorowie, także szczególnie ukochani przez niego górale. Fenomen popularności zakonnika tkwi w jego otwartości, serdeczności i życzliwości oraz w tym, że niemal nikt, kto zwraca się do niego o pomoc, nie zostaje odrzucony. Niemal, bo z powodu przeładowanego kalendarza i braku czasu musi czasem odmówić.

Jego wielkość polega również na tym, że nie unika trudnych pytań, które nurtują wielu ludzi. Odpowiada na nie, dając proste, zrozumiałe dla wszystkich rozwiązania. Mówi o dobru, nadziei i miłości tak przekonująco, że nie pozostawia nikomu żadnych złudzeń.

Ojciec Leon to człowiek o niezwykle bogatym doświadczeniu. Był świadkiem przełomowych dla Polski wydarzeń w minionym stuleciu. Znał osobiście wiele wybitnych postaci, z Janem Pawłem II na czele, z którym łączyła go niemal pięćdziesięcioletnia przyjaźń. Stąd wziął się pomysł, by zebrać w popularnej formie alfabetu subiektywne oceny ludzi, ale także wydarzeń i zjawisk, mających istotne znaczenie w życiu legendarnego benedyktyna. Oczywiście ze względu na techniczne ograniczenia lista haseł jest niepełna, a opisy fragmentaryczne. Mimo to wyłania się z tych zwierzeń

obraz minionej epoki oraz charakterystyka ludzi bliskich mnichowi. Jednocześnie w odważnych oraz często przepełnionych humorem komentarzach bliżej poznajemy niezwykłość ich autora.

Właśnie z uwagi na ojca Leona Knabita współpraca przy redagowaniu „Alfabetu" była wyzwaniem i doświadczeniem wyjątkowym. Prawie każde z nim spotkanie w tynieckim klasztorze rozpoczynało się od dowcipu.

– Czy Pan wie, co jadłem podczas wizyty u znajomych w Hahnenklee? – zapytał, jak zaznaczał, na dobry początek. – Kaczkę z grzybami, nie powiem „rydzykami".

A innym razem zaskoczył żartem słownym:

– Pani pyta dzieci w szkole, czy wiedzą, jak wyglądają gęsi. Zgłasza się Jaś i mówi: „U nas gęsi nie wyglądają, bo tatuś okno zabił deskami!".

Ojciec Leon zaskakuje, ale nade wszystko fascynuje rzetelnością, skrupulatnością i genialną pamięcią. O pracowitości i niespożytych siłach już było. Listy e-mailowe uświadamiały jak bardzo przepełniony jest jego kalendarz. W jednym z ostatnich przed ukończeniem „Alfabetu" informował o piętrzących się perypetiach:

„Drogi Panie Marku.

Jestem już szczęśliwie w roku 1970. Pragnę zrobić, ile się da do środy włącznie, a tu akurat jeszcze pogrzeb ważny wypadł i jakaś TV się dobija. Chce 6 (!) godzin. Powiedziałem – może 1,5...

I jeszcze lekarz. Pan Bóg dowcipny... Uwidim...

Dopisek chyba też się uda zweryfikować, a resztę zostawimy na po 11 IX...

Ściskam

brrrr. Leon OSB".

Przypadkiem spojrzałem na godzinę wysłania wiadomości – 22.42.

Parę minut wcześniej kończyłem redagować hasło: „Dzień mnicha". Ojciec Leon relacjonował: „Do snu kładziemy się między 21.30 a 22.00"...

Ale jakież miał inne wyjście, skoro wydawca dusił terminami?!

Tylko sporadycznie sięgał po kalendarzyk lub po kilka luźnych karteczek, a jeszcze rzadziej po gruby jak brewiarz notatnik, w którym drobnym drukiem odnotowywał każde swoje spotkanie i ważniejsze zdarzenie w ostatnich kilkudziesięciu latach. Zdumiewające, jak ktoś, kto wychowywał się w czasach stalowego pióra i inkaustu, tak znakomicie radzi sobie z komputerem.

I jeszcze jedno. Istota benedyktyńskiej reguły wyraża się zasadą: „Módl się i pracuj". Czy zatem mnichowi wypada się uśmiechać, żartować, dowcipkować, a popularność mieści się w ramach monastycznego porządku?

– Niewątpliwie tak, jeśli wszystko, co się robi, jest miłe Panu Bogu – rozstrzyga dylemat ojciec Leon.

Skoro tak, to miejmy nadzieję, że i ten „Alfabet" przypadnie do gustu zarówno Bogu, jak i Czytelnikom.

Marek Latasiewicz



ALEKSANDRA – Mamusia

Na jej głowie było prowadzenie domu i wszystkie związane z tym sprawy gospodarcze, co nie było łatwe zwłaszcza w czasach okupacji niemieckiej. Troszczyła się też o naszą edukację. W przeciwieństwie do Taty, który nalegał, bym najpierw zdobył jakiś konkretny fach, bo z samej nauki nic jeszcze nie wynika, Mamusia miała mimo wszystko większe w tym względzie ambicje. Nie chciała, abyśmy poprzestali na zawodzie szewca, krawca lub fryzjera. Pilnowała, czy czegoś nie przeskrobaliśmy w szkole i czy nie zaniedbaliśmy się w nauce. Pod tym względem nie przysparzaliśmy zbyt wielu kłopotów.

Mamusia była kobietą nadzwyczaj zaradną. W najtrudniejszych momentach, kiedy zabrakło Tatusia, wykazywała się niezwykłym sprytem. Nie było dla niej sytuacji bez wyjścia. To tu, to tam zahandlowała, coś „przykombinowała", tak że nigdy nie chodziliśmy głodni i w podartych ubraniach. Była osobą łatwo nawiązującą kontakt z innymi ludźmi i chyba odziedziczyłem to po niej. Sympatię zyskiwała dzięki swej uczynności i życzliwości. Jak bardzo była lubiana, uświadomiłem sobie podczas

pogrzebu, kiedy nad grobem tak wielu ludzi dziękowało jej za okazaną pomoc. Szczególnie wdzięczni byli jej moi dawni koledzy szkolni i z seminarium, którzy zawsze mogli liczyć na pomoc i schronienie pod naszym dachem. Mamusia opiekowała się nimi jak własnymi dziećmi.

Była osobą bardzo wrażliwą, przejmowała się każdym naszym niepowodzeniem. Bardzo martwiła się moją chorobą płuc, na jaką zapadłem pod koniec seminarium. Kiedy w końcu jako tako wyzdrowiałem i przyjąłem święcenia kapłańskie, była szczęśliwa. Dobry nastrój popsuła jej wiadomość o wstąpieniu do zakonu. Uznała to za grubą przesadę. Do Tyńca wysłała mi list. Na skrawku gazety napisała rozgoryczona: „Synku drogi, coś ty zrobił?". Z czasem pogodziła się i z tym. Kiedy dowiedziała się, że jeden z moich kolegów księży porzucił kapłaństwo, przekonała się. „Wiesz, synku, chyba to jednak dobrze, że jesteś w tym Tyńcu" – przyznała. No, a gdy odwiedziła mnie w Izabelinie pod Warszawą, gdzie spotkała się z prymasem Wyszyńskim, a potem w Tyńcu porozmawiała z kardynałem Wojtyłą, była już w pełni usatysfakcjonowana.

Mamusia zmarła w 1992 roku, w osiemdziesiątym piątym roku życia. Udzieliłem jej ostatniego namaszczenia, a w ostatnich chwilach towarzyszyliśmy jej wszyscy, cała trójka jej dzieci.

Jan Paweł II napisał po jej śmierci: „Pragnę modlitwą za duszę śp. Aleksandry podziękować za Jej dawne życzenia dla Papieża... Pan Bóg prowadził Ją drogą cierpienia, ale była Mu wierna całe życie i już tu nagrodził Jej troskę o kapłanów pociechą, że miała przy śmierci Syna, który Jej towarzyszył modlitwą w przejściu do wieczności".